

Żyd? – ksiądz?

Romuald Jakub Weksler-Waszkinel



Ksiądz Weksler-Waszkinel

Fot. z archiwum autora

Był to rok 1947 albo 1948. Małe, wówczas powiatowe, miasteczko w woj. Olsztyńskim. Typowe poniemieckie osiedle robotnicze – *Siedlung* – budowane na obrzeżach miast w latach 30. na Prusach Wschodnich: po obu stronach dosyć szerokiej, niebrukowanej drogi zielony żywopłot oraz niemal identyczne domki jednorodzinne, oddzielone od żywopłotu małymi ogródkami; nazywało się to wówczas i dziś nazywa się – ulica Kolonia Robotnicza.

Letnie późne popołudnie, czy jak kto woli, wczesny wieczór – ciepło. Właśnie wracały z pastwiska krowy, co zawsze ożywiało ruch ulicy, a dla rozbawionych dzieci znaczyło koniec zabawy.

Spod trójki wybiegł mały chłopiec (4–5-letni) i, przeskakując z nogi na nogę, zmierzał do swojego domu; mieszkał pod piątką. Po przeciwnej stronie ulicy – pod szóstką – stało dwóch mężczyzn. Zwykle o tej porze dnia byli już dobrze pijani. Chłopiec ich znał; mieszkali w tym samym osiedlu. Kiedy dochodził do furtki domu oznaczonego numerem 5, do jego uszu doleciało:

– Żyd! Żyd! Żydowski bajstruk!

Obejrzał się. Tak – z całą pewnością wołali na niego; głośno zarechotali, gdy dostrzegli, że patrzy w ich stronę.

Zaszumiało mu w uszach; serce podskoczyło jak spłoszony ptak. Jak dobrze, że Mama jest tak blisko – jej ramiona dawały poczucie bezpieczeństwa, przynosiły spokój.

Ale nawet schowany w ramionach Matki, długo nie mógł wydobyć z siebie słowa. Kiedy napotykał coś, czego się lękał, czego nie rozumiał, jego myśl biegła szybciej niż słowa, które – nie mogąc dopędzić myśli – plątały się, przewracały, gubiły litery i zamieniały w nieartykułowane dźwięki: pp-p-pppp...

– Co się stało? Nie płacz! Ktoś cię uderzył? Dlaczego się trzęsiesz? Opowiedz wszystko Mamie, powoli...

Kołosowski (to sąsiedzi właśnie spod trójki) kiedykolwiek tak na ciebie powiedzieli?

– Nie!

– A ktokolwiek od Sinkiewiczów? (to sąsiedzi z drugiej strony, spod siódemki)

– Nie!

– A może pani Milewska?

– Nie!

– No, to może ktoś od Gruzdasów, Kobyrów albo Wołczekich czy Lachowiczów... posypała się lista nazwisk, imion.

– Nie, nie, nie, nikt tak na mnie nigdy nie powiedział.

– No więc – tłumaczyła Matka – sam widzisz, że tak jak na ciebie wołali ci dwaj pijacy, tak mówią tylko ludzie głupi. Oni nikogo nie lubią, ani siebie samych, ani własnych dzieci. Oni chyba tylko wódkę lubią. Nie trzeba na nich w ogóle zwracać uwagi. Dobrzy ludzie na pewno tak na ciebie nie powiedzą, a głupich – nie trzeba słuchać. Zapamiętaj: dobrych ludzi trzeba kochać, głupich – unikać; czasami trzeba się ich bać.

J. P. Sartre napisał kiedyś: „[...] małe słowo – «Żyd» – pojawiło się pewnego dnia w jego życiu i nie sposób się teraz od niego uwolnić”. Tak właśnie było. Gdzieś – w sercu, może w podświadomości – nosiłem to wydarzenie i upływający czas zupełnie go nie zacierał, choć wówczas nie dowiedziałem się jeszcze, dlaczego tak za mną wołali. To małe „słowo” uderzyło i tkwiło we mnie jak jakieś przezwisko. Potem – w szkołach i w życiu – poznałem różne znaczenia tej nazwy.

Najważniejsze – ujawniło się w zimowy wieczór (23 II) 1978 roku. Okazało się wtedy, a raczej – ostatecznie potwierdziło, że to małe słowo – „Żyd” – odnosi się do mnie nie jak przezwisko, ale raczej jak nazwisko. Usłyszałem od Matki:

– Miałeś wspaniałych rodziców i bardzo ciebie kochali – byli Żydami; zostali zamordowani. Ja tylko ratowałam ciebie od śmierci.

Załomotało serce, ale już nie ze strachu!

– W 1978 roku miałem już 35 lat.

W roku 1966, 19 czerwca, podczas kościelnych uroczystości Milenijnych na

Warmii, w bazylice katedralnej we Fromborku, otrzymałem święcenia kapłańskie. Poprzedzające je wydarzenia sprawiły, że to małe słowo – „Żyd” – znów do mnie wróciło... Tyle że, tym razem, był to dla mnie znak szczególnej bliskości Żyda z Nazaretu, Jezusa Chrystusa. A ja przecież miałem zostać jego wybranym uczniem – kapłanem. Myślałem sobie: byłoby cudownie, gdybym naprawdę był Żydem!

A potem, jeszcze nie raz, w rozmowach z Matką (Ojciec zmarł nagle, w 1960 r.) świadomie i celowo wchodziłem, bardziej lub mniej dyskretnie, w „przestrzeń” minionej wojny. Czasami wprost dotykałem cierpienia Żydów. Nie podejmowała temat, milczała. A kiedy zaczynałem głośno czytać jakieś fragmenty wspomnień Żydów z lat wojny, prawie zawsze w jej oczach widziałem łzy.

Pytałem: – Mamo, dlaczego płaczesz? Czy ja jestem Żydem?

– A czy ja ciebie nie kocham? – słyszałem w odpowiedzi. Zawsze to samo zawstydzające mnie pytanie. Wstydzilem się, że tak mnie pytała, a jednocześnie, właśnie to jej pytanie przekonywało mnie, że w jej wspaniałej, pięknej miłości kryje się coś, o czym powinienem wiedzieć. Zmieniałem więc temat albo kończyłem lekturę i czekałem na następną okazję. Byłem przekonany, że trzeba pytać, że właściwą chwilę przygotowuje ktoś INNY.

Nie myliłem się. W ów zimowy wieczór 78 roku, po kolacji, rozmawialiśmy o Święcianach, małym miasteczku koło Wilna – tam mieszkali, w czasie wojny, moi Rodzice i tam się urodziłem, w roku 1943.

Padaly nazwy: ulica Wileńska, Cerkliszki, szkoła rolnicza... Padaly nazwiska: Grodzki, Danilewicz, Pojmański...

– Mamo, a Żydzi, znałaś Żydów w Święcianach?

Spojrzała na mnie i zamilkła. Ostatnio częściej chorowała. Leżała nawet dwa tygodnie w szpitalu, co wyraźnie ją zaniepokoiło. Zbliżała się do siedemdziesiątki.

– Romek... przecież wiesz, że w czasie wojny, jak przyszli Niemcy, w 1941 roku...

Głos jej zadrżał, w oczach pojawiły się łzy. Wziąłem jej dłonie w swoje ręce i ucałowałem. Wybuchnęła płaczem.

– Mamo moja droga, wyrzuć to wreszcie z siebie. Proszę... Powiedz mi, jestem Żydem, prawda? No chyba jestem, bo rozpoznaję to w twoich łzach... Byłaby to przecież piękna karta w twoim życiu, a ja powinienem znać tę kartę. Sama wiesz najlepiej, ile ten naród wycierpiał! Zresztą, nie tylko o mnie chodzi, to świadectwo prawdy o tamtych dniach nienawiści. Ileż się mówi: Polacy szmalcowali, okradali, donosili, poniewierali... Ale byli i tacy, którzy współczuli, pomagali, ratowali, nawet narażali życie... Po prostu – zło jest bardziej widoczne, zawsze na wierzchu; dobro – umiera na krzyżu, a więc wydaje się, że przegrywa. Mamo, cokolwiek powiesz, na pewno nie będę cię kochał mniej, tylko jeszcze bardziej! Proszę...

– Miałeś wspaniałych rodziców – zaczęła łkając – ... Ja tylko ratowałam ciebie od śmierci...

Plakała – płakaliśmy oboje.

Kiedy byłem małym chłopcem, bardzo lubiłem słuchać, śpiewanych przez Mamę, pieśni wielkopostnych. Zwłaszcza jedna zapadła mi w serce; zaczynała się od słów: „Ojcze, Boże wszechmogący...” A zapadła w serce dlatego, że kiedyś, zasłuchany, rozplakałem się przy zwrotce opowiadającej o rozstaniu Matki z Synem. I wtedy Mama wzięła mnie na kolana, ucałowała, przytuliła i sama zaczęła płakać.

Teraz, w ów zimowy wieczór 78 roku, kiedy znowu razem płakaliśmy, rozumiałem tamte łzy sprzed trzydziestu kilku lat... Zrozumiałem wiele chwil i sytuacji...

– Wiesz – mówiła patrząc w okno przysłonięte czernią wieczoru – gdyby nie twoja Matka...

Zamknąłem oczy – moja Matka, mój Ojciec – przecież kiedyś na nich patrzyłem... Pulsowało w skroniach, w głowie roilo się od pytań... Milczałem jednak, by nie spłoszyć tego, co przychodziło...

– Miałeś wspaniałą, mądrą i dobrą Matkę... Ja się bałam, bardzo się bałam. Za ratowanie Żyda, nawet niemowlęcia, groziła śmierć. Wiesz przecież, że nie mieliśmy własnego mieszkania w Święcianach, wynajmowaliśmy pokój... Wtedy w getcie mówiłam o tym twojej Mamie. Ona słuchała, ale jakby nie słysza-

ła. Patrzyła na mnie, a jej smutne oczy – ty masz oczy matki – mówiły więcej niż słowa.

– On wszystko widzi – powtarzała. – Życie jest w Jego ręku, ale trzeba ratować przynajmniej tego, kto sam nie może się ratować. Proszę, niech pani ratuje moje dziecko, niemowlę... Jest Pani osobą wierzącą, chrześcijanką; mówiła Pani, że wierzy w Jezusa: przecież on był Żydem! Proszę więc, niech Pani ratuje



Ksiądz Waszkinel wśród członków własnej rodziny w Izraelu

Fot. z archiwum autora

żydowskie niemowlę w imię tego Żyda, w którego Pani wierzy. Jak to małeństwo wyrośnie, zobaczy Pani, on zostanie księdzem i będzie nauczał ludzi...

Gdy w 1978 roku po raz pierwszy usłyszałem te słowa, będące poniekąd testamentem mojej rodzonej Matki, byłem już od 12 lat katolickim księdzem. Łomotało serce, opadały zasłony...

– Mamo moja najdroższa, jak nazywali się moi Rodzice?

– Nie pytałam; mówię ci, ja się bałam. Nawet znajomość nazwiska była wtedy niebezpieczna. To były okropne chwile. Baliśmy się z Tatusiem nie tylko Niemców; baliśmy się niemal każdego i wszystkich: Polaków, Litwinów, Ruskich... Nie ufaliśmy nawet sąsiadom. Nie wiem, jak bym się zachowała, gdyby

ktos doniósł. Nie wiem... Ja nie byłam bohaterką. Dlatego nie chciałam zapamiętać żadnego nazwiska. Gdyby ktoś doniósł, to nie musiałabym kłamać, mogliby mnie zabić, a ja bym powtarzała: to jest moje dziecko, ja je kocham.

Moja wspaniała Polska Matka. Była bohaterką! Chroniła mnie w czas wojny i pokoju. I zawsze – bardzo kochała. Dożyła 80 lat. Umarła na moich rękach w 1989 roku.

moi Rodzice ciała i krwi, polscy Żydzi, mieszkający przed – i w czasie wojny (do kwietnia 1943 roku) – w Święcianach. Następnie, wraz z moim bratem Samuelem (miał wtedy 4–5 lat), zostali przewiezieni do getta wileńskiego. Ostatecznie, po likwidacji tego getta, zostali zamordowani – najprawdopodobniej w obozach koncentracyjnych. Kolgi (Ojciec) oraz Majdanka (Matka i Brat).

Piotr i Emilia z domu Choraży, Waszkinelowie, to moi polscy Rodzice, którzy, narażając własne życie, nie tylko uratowali mnie od śmierci, ale przeobficie obdarowali miłością; taką – jaką mogą dać tylko Ojciec i Matka!!!

Nazwiska i imiona – pieczęcie na drodze życia.

W moich dokumentach, od grudnia 1992 r., nazwisko Weksler stoi przed nazwiskiem Waszkinel; imię Romuald – przed imieniem Jakub.

Ludzki los; mój los – wpisany w gwiazdę Dawida – Krzyż...

Jerzy Liebert w jednym ze swoich wierszy pisał, że człowiek nieustannie się

uczy; uczy się innych, ale i – siebie samego, a więc swego losu. Otóż, gdy o mnie chodzi, z całą pewnością mogę powiedzieć, że ów pamiętny wieczór – 23 lutego 1978 r. – był w moim życiu przełomem. Żydowski świat – którego bałem się w dzieciństwie, później przybliżający się z wolna, odsłaniając cały ogrom cierpienia oraz cierpliwą miłość – tamtego wieczora stał się moim światem. Gwiazda Dawida otuliła mnie, a raczej uświadomiłem sobie, że byłem nią otulony od matczynego łona, i od pierwszych chwil mego życia po narodzeniu. Od pewnej śmierci uratowały mnie słowa mojej żydowskiej Matki o Żydzie z Nazaretu, skierowane do chrześcijanki, która stała się moją polską Matką. Gorąco wierzę, że ostatecznie to właśnie On – również Syn żydowskiej Matki – uratował mi życie! W ten właśnie sposób w moją – od wieków – Gwiazdę Dawida wpisał się również

Jakub i Batia, z domu Waiskońska (albo Wojskońska), Wekslerowie, to